

Kielich Żelaznorękiego

Michał Rogowski

Mimo późnej pory Thofnir daleki był od tego, żeby chociaż pomyśleć o odpoczynku. Zaledwie przed chwilą grupa pijanych górników zrobiła istną demolkę w jego piwiarni. Gliniane dzbany latały w powietrzu, trzaskały łamane krzesła, a z rozbitych nosów lała się krew. Dobry kwadrans zajęło, nim zdołał przegonić awanturujące się towarzystwo.

Kiedy żelazny rygiel zasunął się w końcu za ostatnim z gości, krasnolud omiółt salę pełnym trwogi wzrokiem. Powiedzieć, że krajobraz wyglądał jak po bitwie, byłoby nie dość dosadnym określeniem obecnego stanu.

Westchnął i ciężkim krokiem podszedł do jednego z połamanych stołów, pod którego blatem, w kałuży rozlanego piwa, leżała sterta glinianych skorup.

– Na brody przodków... – Z trudem stłumił cisnące się na usta przekleństwo. – Ojciec zawsze powtarzał, żeby zainwestować w metalowe kufle...

– Przestań marudzić i bierz się do roboty! – głos żony, niczym uderzenie pioruna, przywołał Thofnira do porządku.

– Tak, kochanie – odparł markotnie krasnolud i zaczął zbierać resztki połamanych krzesel.

Ursa obrzuciła męża tym szczególnym spojrzeniem, po którym właściciel piwiarni wiedział już, że lepiej z nią w tej chwili nie dyskutować. Zadowolona z osiągniętego efektu, fuknęła pod nosem i wróciła do przerwanej zamiatania podłogi.

Wtem do drzwi lokalu rozległo się głośnie pukanie.

– Czego tam? – wrzasnął Thofnir. – Nie widzisz, że zamknięte? Idź chlać gdzie indziej, moczymordo!

Pukanie jednak nie ustawało. Więcej nawet, stawało się coraz głośniejsze.

– Głuchy jesteś? – Gospodarz wypuścił z rąk zebrane resztki i ruszył w stronę drzwi. – Kopnę cię w rzyć, jak nie przestaniesz się dobijać!

Jakby na przekór jego pogrożkom, pukanie stało się jeszcze bardziej natarczywe.

Odsunął rygiel i z rozmachem otworzył drzwi na oścież. Widok niespodziewanego gościa tak go jednak zaskoczył, że krasnolud stanął jak wryty z otwartą gębą.

– Starszy inspektor Ghorz – przedstawił się spiczastonosy goblin i uchylił klapę płaszcza, prezentując przypiętą stalową odznakę. – Straż Miejska. Pan Thofnir, jak mnie mam? Właściciel piwiarni Pod Złotym Kielichem?

Krasnolud zamrugnął zdeorientowany.

– Aye, to właśnie ja – odparł po chwili.

– Czy ja i moi chłopcy możemy wejść do środka?

Thofnir zerknął podejrzliwie na dwójkę stojących za goblinem osobników. Odziany w skórzaną kamizelkę ogr był niemal dwa razy większy od krasnoluda, a ramiona miał grube, jak konary dębu. Okryty niebieską tuniką jaszczuroczłek był za to chudy jak patyk.

– Czego tu chcecie o tej porze? – zapytał nieufnie gospodarz. – I gdzie sierżant Magni? To przecież jego rewir.

– Szukamy zbiega, którego widziano niedawno w tej okolicy – odparł Ghorz. – Wszyscy strażnicy przeszukują całą dzielnicę. Widzę, że mieliście tu jakąś rozróbę? – Goblin wskazał czubkiem nosa na bałagan, widoczny za właścicielem.

Thofnir obejrzał się przez ramię dosłownie na sekundę, ale niższemu o głowę inspektorowi tyle wystarczyło. Ghorz precyzyjnie się bez trudu obok krasnoluda i wszedł, jak gdyby nigdy nic, do piwiarni.

– Hej... – spróbował zaprotestować gospodarz, ale w tej samej chwili potrącił go szeroki w barach ogr. Jaszczuroczłek również nie czekał na zaproszenie i prześlizgnął się zwinnie do środka.

– Hej! Co wy sobie myślicie! – zagrzemiał krasnolud.

– Proszę z nami współpracować, panie Thofnir – obwieścił beznamyślnie goblin, rozglądając się, jakby od niechcienia, po zdemolowanym lokalu. – Zbieg, którego szukamy jest wyjątkowo niebezpieczny. Nie dalej jak dwie ulice stąd znaleźliśmy ciało jego ostatniej ofiary. Jeżeli nie będą państwo utrudniali, zrobimy swoje i zaraz sobie pójdziemy.

– Ja wam zaraz dam współpracę...

– Cieszy mnie to bardzo! – przerwał mu strażnik stanowczym tonem. – Zaczynajcie chłopcy!

Towarzyszący goblinowi ogr ruszył w stronę ostatnich ocalałych w lokalu sprzętów. Zaczął rozrzucać je i przestawiać dookoła, jakby robił wyjątkowo niechlujne przemeblowanie. Jaszczuroczłek w tym czasie zaglądał w każdy kąt i każdą szparę. Precyzyjnie się pod przewróconym stołem, wsunął za kontuar, a nawet wdrapał na żyrandol. Inspektor stał z rękoma schowanymi w kieszeniach i bacznie przyglądał się działaniom swojej ekipy.

– Thofnir, co to wszystko ma znaczyć? – krzyknęła Ursa, mierząc w ogra końcem miotły.

Osisek nie zwrócił na nią jednak uwagi i dalej przestawiał ciężkie łąwy.

– Piwnica – wydał rozkaz goblin.

Jaszczuroczłek zasyczał w odpowiedzi i ruszył w stronę schodów.

– Jeszcze czego! – wrzasnął Thofnir. – Do piwniczki nikt poza mną i żoną nie ma wstępu! Łapy precz od moich beczek! – Krasnolud szykował już pięści, ale w tej samej chwili ogrza łapa chwyciła go za ramię i ścisnęła niczym imadło.

– Pusstto ssszefie! – dobiegł po chwili głos gdzieś z dołu.

– No dobra, chłopcy! Zmywamy się stąd! – Goblin odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia. Jego towarzysze podążyli za nim, nie oglądając się więcej na gospodarzy. Ostatni przybytek opuścił ogr, trzaskając za sobą głośno drzwiami.

Cała ta scena trwała zaledwie chwilę i pozostawiła krasnoludzkie małżeństwo w stanie zupełnego osłupienia.

– Thofnir! – ocknęła się nagle Ursa. – Dlaczego wpuszczasz nam tu jakieś przybłędy!

– Ależ skarbie, co ja mogłem zrobić? – Krasnolud zaczął cofać się, aż uderzył plecami o szynkwias.

Gospodyni zastygła nagle w bezruchu, wpatrzona w jakiś punkt. Miotła wypadła jej z rąk.

– Na warkocze mojej babki! Okradli nas! – Jej ręka wskazała coś za plecami męża.

Thofnir podążył tam wzrokiem. Na ścianie, tuż za barem, zawieszona była przeszklona gablota, wyściełana atłasem. Odcisnięte w miękkim materiale zagłębienie pokrywał tylko kurz.

– Nie stój jak posąg, jełopie! – krzyknęła Ursa. – Pędź po straż!

Thofnir wybiegł jak wystrzelony z armaty, prosto na uliczki pogrążonego w mroku miasta i ruszył pędem w stronę posterunku. Wyraźny brak kondycji szybko dał o sobie znać staremu browarnikowi. Sapiąc i dysząc, skręcił w ulicę Rzemieśniczą, z której widać już było główną siedzibę straży. Kiedy dobiegł do schodów i pokonał kilka pierwszych stopni, był już tak zmęczony, że musiał przystanąć i złapać oddech.

– Co ja wyprawiam! – krzyknął nagle. – Przecież już dawno po północy!

Zbiegł prędko i ruszył dalej, ku stojącej w pobliżu karczmie. Na jej szyldzie widniał napis Pod Kilofem i Oskardem.

Wpadł przez otwarte drzwi i pognął środkiem sali, nie zwracając uwagi na zasiadającą przy stołach klientelę. Przepychał się pomiędzy ławami i potrzącał marudzących gości.

– Magni! – krzyknął, gdy dotarł do schowanej za kurtyną salki.

Oparł ręce na stole i dyszał ciężko ze zmęczenia. Po jego kulfoniastym nosie spływały krople potu.

– Thofnir? – Zasiadający tam krasnolud wychylił do dna kieliszek gorzałki, który akurat trzymał w ręku. – Co ty tu robisz, chłopie? Od kiedy to odwiedzasz lokal konkurencji?

– Złodzieje! – odparł zdyszany krasnolud, ocierając czoło rękawem. – Okradli moją piwiarnię! Zabrali kielich!

– Jaki znowu kielich? O czym ty mówisz?

– Mój kielich! – Thofnir uderzył pięścią w stół – Ten sam, który Żelaznoręki podarował memu pradziadowi! Ukradli królewski kielich!

– Co takiego? – Sierżant odstawił z hukiem pusty kieliszek. – Kto? Kiedy?

– Przed chwilą, na brody przodków! Trzech zbirów udających strażników. Goblin pokazał odznakę... Wszystko działało się tak szybko... I jeszcze ta cała awantura z górnikiem! – Thofnir złapał się za głowę i wbił zrozpaczony wzrok w podłogę. – Katastrofa! Co teraz będzie, Magni? Musisz go odzyskać!

– Przestań bełkotać jak poparzony! – wrzasnął sierżant. – Opowiedz lepiej, co się stało. Tylko powoli i od samego początku. Niech ktoś przyniesie jeszcze jedną butelkę przepalanki i drugi kieliszek!

– Będziesz tu sobie pił, podczas gdy oni uciekają?! – krzyknął zrozpaczony browarnik.

– Aye, a ty napijesz się ze mną. Te łotry nie uciekają, Thofnir. Oni już uciekli, a ja nie zamierzam ganiać za nimi po mieście, jak jakiś nieopierzony posterunkowy. No dalej, już się tak nie martw. Znajdę ich, masz moje słowo, ale najpierw usiądź! Wyglądasz, jakbyś zaraz miał się przewrócić.

Thofnir opadł ciężko na ławę. Kiedy po chwili przyniesiono im napitek, zdał sierżantowi relację z wydarzeń, które rozegrały się Pod Złotym Kielichem. Nie szczędził przy tym przekleństw i najgorszych krasnoludzkich obelg pod adresem Ghorza i jego kompanów.

Sierżant przytakiwał tylko i raz za razem wychylał kolejny kieliszek palącej gardło, spirytusowej przepalanki. Kiedy właściciel piwiarni skończył opowieść, Magni otarł usta i wstał od stołu.

– Oddzia! Zbierać się do wymarszu! – ryknął przez uchyloną kurtynę w stronę głównej sali.

– Wiesz, gdzie szukać tych szubrawców? – zapytał zdziwiony Thofnir.

– Domyślam się dokąd pójdą. Zaczekaj na mnie w swoim lokalu i nikomu ani słowa o kradzieży. Jak zaczniesz paplać, to powiem Ursie, żeś tu ze mną chlał, kiedy ona się zamartwiała.

Thofnir zakrztusił się wypitym przed chwilą napitkiem, a sierżant wyszedł rechocząc.

Dom Aukcyjny Grizwolda nie był tak naprawdę domem, a z samymi aukcjami też niewiele miał wspólnego. Mieścił się w rządzonej przez przestępcze kartele dzielnicy goblinów, zaś z zewnątrz wyglądał jak wszystkie budynki dookoła – stara, pokrzywiona i grożąca zawaleniem rudera. Bystry obserwator mógł jednak zauważyć kilka wyróżniających go szczegółów, takich jak kraty w oknach i potężnie zbudowani ochroniarze, strzegący wzmocnionych stałą drzwiami.

Wtajemniczeni wiedzieli, że Grizwold prowadzi największą w mieście przystań paserów. Wszystko, co zostało skradzione w okolicy, prędzej czy później przewijało się przez jego ręce. Straż miejska też zdawała sobie z tego sprawę, lecz chcąc uniknąć otwartej wojny z kartelami, niewiele mogła zrobić.

Tym większe było zdziwienie na twarzy pilnującego wejścia orka, kiedy do drzwi zapukał krasnolud z odznaką sierżanta na naramiennikach.

– Czego tu? – warknął zielonoskóry.

– Zejdź mi z drogi! – Magni naparł całym ciałem i wkroczył do środka, niczym rozpędzony taran.

Tuż za nim podążała reszta oddziału – muskularny ork w czerwonym półpancerzu, odziany w skórzaną kurtę niziołek z krótką rohatyną i okryty kolczugą człowiek z obosiecznym mieczem.

Pracownicy domu aukcyjnego zastygli w bezruchu, jak wpatrzone w intruzów posągi.

– Gdzie on jest? – krzyknął Magni, rozglądając się po twarzach zielonoskórych. – Gdzie wasz szef, Grizwold? Gadajcie, albo jak babcię kocham, zmienimy tę budę w kupę gruzu!

Ochrona zareagowała szybko i otoczyła strażników kordonem. Na krasnoludzie i jego chłopcach nie wywarło to jednak wrażenia. Magni zacisnął mocniej dłonie na trzonku topora.

– Tylko spokojnie, panie sierżancie – dobiegł głos z drugiego końca sali. Ubrany w elegancką kamizelę trol stał przed drzwiami swego gabinetu. Był o wiele wyższy od pracujących dla niego goblinów, a orczych ochroniarzy przerastał o całą głowę.

– Prowadzimy tu legalny interes. Mam papiery i podpisane oświadczenia na każdy zgromadzony eksponat.

– I może jeszcze spróbujesz mi wmówić, że podczas zbierania tych podpisów nikomu włos nie spadł z głowy? – Magni pociągnął głośno nosem. – Daruj sobie banialuki, nie po to tu przychodzę. Jest ważniejsza sprawa.

– Zapraszam więc do mojego biura. – Grizwold odstąpił kły w nieprzyjemnym uśmiechu.

Jego gabinet mocno kontrastował z mizernym wyglądem pozostałej części budynku. Światło rzucały liczne świece, osadzone w pozłacanych kandelabrach, a na ścianach wisiały gabloty, w których właściciel przechowywał cenne eksponaty.

– Czym mogę służyć oficerom? – Grizwold rozsiadł się wygodnie w fotelu za masywnym biurkiem. Z jego twarzy nawet na chwilę nie zniknął lekceważący uśmiezek.

– Już ty dobrze wiesz, po co przychodzimy! – Magni wysunął się przed swoich podwładnych i z hukiem oparł trzonek topora o podłogę. – Kielich Żelaznorękiego. Gdzie on jest?

– Niby skąd miałbym to wiedzieć? – Trol rozłożył teatralnie ręce. – Tacy jak ja nie są mile widziani w krasnoludzkich przybytkach.

– Tylko nie udawaj mi tu niewiniątka. Nawet, jeśli jeszcze nie wpadł w twoje łapska, to na pewno wiesz już o kradzieży.

– Może coś obito mi się o uszy, ale doprawdy nie wiem, jak mógłbym pomóc naszej ukochanej straży – odparł spokojnie trol i bezceremonialnie wydułbał coś z ucha długim paznokciem.

– Słuchaj no, przemądrzalcu! – Magni podszedł bliżej biurka i zarzucił sobie topór na ramię.

Trol zmarszczył groźnie brwi i sięgnął pod blat, po ukrytą tam nabijaną świecami pałkę.

– Tu nie chodzi o zegarek kieszonkowy, czy jakąś inną tandetę! Skradziono kielich naszego króla! Możesz się teraz szczerzyć w głupim uśmiechu, ale nie tylko straż przyjdzie go szukać. Ręczę ci swoją brodą, że każdy krasnolud w tym mieście chwyci za broń, jeśli ten kielich się nie odnajdzie. Będzie wojna! Krew i trupy! Obaj dobrze wiemy, jak to wpłynie na twoje szemrane interesy.

Trol zamyślił się przez chwilę. W końcu jednak westchnął ciężko i odłożył pałkę.

– No dobrze – powiedział niezadowolony. – Nie mam waszego kielicha i nie wiem kto go capnął. Mogę tylko zapewnić, że nie był to żaden z moich stałych dostawców.

– Było ich trzech. Podawali się za strażników. Goblin przedstawił się jako Ghorz. Razem z nim był jakiś ogr i jaszczuroczłek.

– Imię nic mi nie mówi, ale... – Trol odchylił się w fotelu i popadł w zadumę. – Podobna trójka odwiedziła mnie jakiś czas temu. W zeszłym miesiącu próbowali opchnąć mi smocze jajo...

– To oni gwizdnęli jajo Irchauraxa? – przerwał mu zaskoczony Magni – Nie uwierzyłem, kiedy to stare smoczysko zgłosiło zaginięcie... Przecież to czyste samobójstwo!

– Wiem, dlatego go nie przyjąłem. Mówiłem im zresztą, że nie znajdą na nie kupca. To jajo ściągnie kłopoty. Kiedy młode się wykluje i nie wyczuje zapachu ojca... Nasza poczciwa straż ogniowa będzie miała co robić.

– Gdzie znajdę tę trójkę?

– Skąd założenie, że mam takie informacje?

– Prędeż motyl wyfrunie mi z rzyci, niż uwierzę, że nie wiesz wszystkiego o każdym złodzieju w tym mieście.

Trol zaśmiał się i sięgnął po wystające z kałamarza pióro. Napisał coś bez pośpiechu na kawałku kartki, którą zaraz podał krasnoludowi.

– To adres ich meliny. Życzę powodzenia i mam nadzieję, że więcej się nie spotkamy.

– I wzajemnie – odparł sierżant udając się w stronę drzwi.

– Jeżeli któryś z was mnie okantował... – syknął goblin przez zaciśnięte zęby. – To nie ręczę za swoje czyny! Pokazujcie, co macie na rękach, ale już!

– Trójka assów! – Jaszczuroczłek położył na stole karty i uśmiechnął się szeroko.

– Phi! Twoja kolej, Grug.

Ogr wpatrywał się w skupieniu w swoje karty, a po chwili wyraźnie się rozpromienił.

– Dwie pary czwórek! – ryknął uradowany.

– Przecież... – zaczął jaszczuroczłek, ale siedzący obok goblin kopnął go pod stołem w tydkę.

– Grug, ty gamoni! – Ghorz parsknął śmiechem. – Ile razy mamy ci powtarzać, że trójka jest wyższa niż dwie pary?

– Och... – westchnął ogr i posmutniał.

Wtem rozległo się głośne pukanie do drzwi ich kryjówki.

– Co u licha? – Goblin poderwał się jak oparzony. Z rękawa jego płaszcza wysypało się kilka asów.

Pukanie stało się głośniejsze.

– Grug! Sprawdź, kogo niesie! – Ghorz sięgnął po ukryty za pasem nóż.

Ogr wstał powoli z krzesła i podszedł do drzwi. Odsunął ciężki, drewniany rygiel i wyrztał na zewnątrz. Nie zdążył nawet zareagować, gdy wielka zielona pięść dzieliła go prosto w nos. Zatoczył się do tyłu i upadł na deski. Nie minęła nawet sekunda, gdy do środka wparował odziany w czerwony półpancerz ork, niziołek z krótką rohatyną i wymachujący mieczem człowiek. Cały ten pochód zamykał wrzeszczący na całe gardło krasnolud.

– Brać ich, chłopcy! – Magni trzasnął drzwiami i zasunął rygiel. – Nie dajcie żadnemu uciec!

Ork ruszył pierwszy, ale ogromna ogrza łapa chwyciła go za nogę. Strażnik stracił równowagę i upadł. Grung od razu przygniótł go swoim cielskiem i uniósł pięść do ciosu. Niziołek w ostatniej chwili skoczył partnerowi na pomoc i ostrze rohatyny ugodziło ogra prosto w pośladek. Złodziej wygiął się i zawył głośno.

Jaszczuroczłek niczym błyskawica poderwał się z krzesła. Przebiegł po ścianie wprost na schody i był już w połowie drogi na piętro, gdy odziany w kolczugę człowiek chwycił go za ogon i ściągnął brutalnie na dół.

Ghorz ryknął ze złości. Ruszył na krasnoluda i ciął sztyletem prosto w brodą twarz. Osłonięta pancerną rękawicą dłoń zatrzymała z łatwością atak. Sierżant nie dał goblinowi kolejnej szansy. Uderzył zakutym w hełm czerepem i wątył przeciwnik zachwiał się, a potem padł bez przytomności.

– Dobra robota. – Spojrzał z zadowoleniem na obezwładnioną szajkę złodziei.

Podszedł do leżącego na ziemi jaszczuroczłka i oparł stopę na jego piersi.

– A teraz, zaprowadź nas do skradzionych fantów, przyjemniaczku.

Oprych nawet nie próbował protestować. Magni i jego oddział przeszukali dokładnie całą melinę, a gdy uprzętnęli już po sobie bałagan, udali się Pod Złoty Kielich.

Zimny, bursztynowy płyn lał się wartką strugą przez gardło sierżanta. Opróżniwszy cały kufel, krasnolud odstawił puste naczynie i otarł pianę z wąsów.

– Nalej mi jeszcze jedno, Thofnir.

Gospodarz podszedł do beczki, którą dopiero co wytoczył z chłodnej piwnicy i dolał strażnikowi piwa.

– Teraz wygląda znacznie lepiej! – Ursa skończyła wycierać szybę gabloty, w której zamknięty był królewski kielich. – Nie wiem, co by było, gdybyście go nie odzyskali... Thofnir! Podaj mi zmiotkę, zobacz ile tu kurzu!

– Trzeba by zmienić nazwę. – Magni upił łyk złocistego trunku i oblizał usta. – Piwiarnia Pod Złotym Kielichem, bez złotego kielicha?

– Nawet nie żartuj w ten sposób! – zachnął się gospodarz. – Powiedz lepiej, czy kapitan da ci jakiś awans za tę całą akcję?

– Awans? – Krasnolud parsknął śmiechem. – O bratku... Zabrałem bez zgody oddział na tereny kartelu, groziłem Grizwoldowi wojną i przypuściłem szturm na dziuplę złodziei bez żadnego wsparcia. Kapitan tak na mnie wrzeszczał, że aż mu się uszy trzęsły. Nic z tego, przyjacielu. Jedyna nagroda dla mnie, to ta darmowa beczka piwa, coś ją wyciągnął z piwniczki.

– Cała beczka? – Thofnir złapał się za głowę.

– Aye, cała beczka! Przecież moja załoga też musi się napić. – Magni uniósł kufel w stronę siedzących w kącie sali, podchmielonych już mocno strażników. – Nie powiesz mi, że chłopczy się nie spisali!

– No... tego nie można im odmówić. – Przytaknął gospodarz. – Zapobiegliście katastrofie, więc przynajmniej łyk chłodnego piwa mogę wam ofiarować.

– Takie katastrofy, to nad tym miastem wiszą codziennie, Thofnir. Muszę jeszcze odnieść jajo smokowi, zanim młode się wykluje i puści nas wszystkich z dymem...

– Smocze jajo? To właśnie masz w tym wielkim worku, który położyłeś pod drzwiami? – Thofnir pobladł nagle i wyglądał, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy. – Bogowie! Czyś ty zwariował, Magni? Zabierz to paskudztwo z mojego przybytku!

– I po co te nerwy? Robota nie zając, nie ucieknie. – Magni odstawił kufel i beknął przeciągle. – Nalej mi lepiej jeszcze jedno, bo z pustego się nie napiję.

W tym samym czasie, w innej części miasta, do drzwi pewnego gabinetu rozległo się ciche pukanie.

– Wejść!

Goblin przełknął ślinę i wykonał polecenie. Podeszedł do masywnego biurka i ostrożnie postawił na blacie trzymany w dłoniach przedmiot. Jeszcze przez chwilę nie mógł zapanować nad drżeniem rąk.

– Nareszcie... – Grizwold uśmiechnął się drapieżnie i obejrzał złoty kielich. – Coraz lepiej... Doskonały niemal w każdym calu. Prawie jak oryginał.

Goblin odetchnął z wyraźną ulgą.

– Ile czasu potrzebujecie, żeby ruszyć z produkcją?

– Trzeba zrobić dodatkowe formy i przygotować materiały...

– Ile czasu?

– Tydzień.

– Znakomicie... – Trol podniósł kielich i obracał go przez chwilę, napawając się grą światła na połtaczanej powierzchni.

Kiedy Ghorz zjawił się w domu aukcyjnym i pokazał swoją zdobycz, w pierwszym odruchu Grizwold prawie przystał na jego warunki, chociaż cena była dość wygórowana. Jako wytrawny kolekcjoner umiał jednak powstrzymać swoje zapędy i podejść do targu racjonalnie.

Powiedział, że potrzebuje czasu na potwierdzenie autentyczności towaru. Zwrócił się nawet do kilku potencjalnych nabywców, ale żaden z nich nie wydawał się zainteresowany. Wiedzieli, że kielich ściągnie kłopoty. Z żalem musiał przyznać, że ten krasnoludzki sierżant miał w tym względzie rację.

Wstał z fotela i podszedł do jednej z wiszących na ścianie gablot. Przez lata zapełniał je rzadkimi eksponatami, pochodzącymi z rabunków i kradzieży. Każdy z tych przedmiotów wart był pokaźną sumkę i podobnie jak kielich, mógłby ściągnąć na trola poważne tarapaty. Dlatego nigdy nie rozważał nawet możliwości ich sprzedaży.

Wpadł jednak na pomysł rozwiązania wspomnianego problemu.

– Te kopie będziemy sprzedawać w dziesiątkach, może nawet setkach. Każdy będzie mógł postawić sobie kielich Żelaznorękiego nad kominkiem, a to dopiero początek. Smocze jaja, rogi jednorożca, pióra gryfona... Nieskończenie wiele możliwości. Za rok każdy sprzedawca, kram i targowisko w tym mieście będzie miało w ofercie moje towary. A wiesz, co jest najlepsze?

– Co takiego, szefie? – zapytał goblin, choć nie był do końca pewien, czy trol zwraca się właśnie do niego.

– Nawet te zapchłone krasnoludy nie zauważyły żadnej różnicy.

Grizwold przyłożył kielich do szyby gabloty. Za grubym szkłem, na atlasowej poduszce, leżał drugi, na pozór identyczny egzemplarz.

Kiedy mały goblin opuszczał gabinet, jego szef stał wciąż przy swoich trofeach i śmiał się głośno. Wszyscy pracownicy domu aukcyjnego zamarli na chwilę, ale zaraz wrócili do przerwanych zajęć. Tej nocy mieli jeszcze wiele do zrobienia.